

Anna Szkute, z domu Filipiuk.

Urodzona jestem w 1907 roku w ^{25-17.} Karalińsk. na Syberii. Dziadek mój był wywieziony za wiarę w 1883 roku do Gubernii Orenburskiej. Siedział w więzieniu - początkowo w Siedlecach, ale że był oporny - bo to był unita i nie chciał przejść na prawosławie, więc za to został wywieziony.

Z Siedleca wywieźli go do Białej Podlaskiej. Rodzina jego była w Ogrodnikach, gmina Wołowczyce, powiat Biała Podlaska.

Połączyli ją razem z dziadkiem i w jednym wagonie powieźli na Syberię. Mieli prawo ze sobą wziąć tylko 3 pudy.

Pud równa się 16 kilogramom, każda osoba miała prawo wziąć ze sobą 3 pudy. A było ich siedmiu: dziadek, babcia i pięcioro dorosłych dzieci; 3 synów i 2 córki. I wywieźli ich do Gubernii Orenburskiej, do Orenburga.

Ja jestem z tych wszystkich sybiraków najmłodszą wnuczką.

Zdaje się, że już nikogo nie ma żywego. Prawnuki są, ale ja jestem najmłodszą wnuczką co trochę pamięta opowiadanie ciotki.

Tam żyli bardzo biednie, pracowali. Jak pracowali to nie wiem.

Ciotki służyły tam u panów, stryj jeden był zakrystianem.

W 1888 r. tam dużo więcej wysłali Polaków, też z Podlasia.

I tam zbudowali kościół dla tych Polaków - niewielki był kościółek, ale tam chodzili i modlili się. I ksiądz tam też był, też zesłannik.

W 1905 r. można już było pojechać do Polski - car dał już wtenczas pozwolenie. Więc dziadek, stryj Mikołaj /bo stryj Piotr umarł w Orenburgu na gruźlicę i tam był pochowany/ i 2 ciotki przyjechali do Polski. Jak przyjechali do Polski, to przyjechali naturalnie za swoją ziemią, którą zajął strażnik, który ich wysłał do Rosji. Ten strażnik zajął ich całe gospodarstwo. Ale jako, że to gospodarstwo było duże, on widocznie nie dał rady i sprzedał połowę. Ten strażnik nazywał się Rieпка, co dzisiaj pisze się Rzepka /przepisał się/. Odsprzedał pół tej ziemi Dominikowi na tej samej wsi w Ogrodnikach.

Jak przyjechał dziadek ze stryjem, to nie mieli gdzie mieszkać, więc mieszkali tam u dalekich krewnych. Dziadek był stary, już pracować nie mógł. Stryj Mikołaj pracował na roli u gospodarza, jedna ciotka też tam pomagała. Za to im tam płacili pudami, a mieszkali tam gdzieś w komornej izdebce.

W Rosji pozostali - jedna córka Aleksandra i mój ojciec Stefan, którzy nie bardzo chcieli wracać. Ojciec pracował już na kolei. Mieliśmy własny dom. Ciotka też była zamężna i też miała własny dom. Nie chcieli jechać do Polski, bo nic nie było pewnego.

Dziadek napisał potem list, że przyjechaliśmy do swoich, a swoi nie przyjęli. I tak w biedzie dziadek zmarł.

Stryj Mikołaj był potem stary i był za pastucha na wsi, przezebił się i w 1924 roku zmarł, mając 55 lat.

My zostaliśmy w Rosji i byliśmy tam w Orenburgu.

Przyszła wojna, w 1914 roku. Brat starszy mój, Stanisław wstąpił w Legiony Polskie i z kolegą Władysławem Rybatowem pojechali okreśną drogą przez morze do Polski z polskimi legionami.

My zostaliśmy w Rosji. Ojciec pracował na kolei i miał prowadzić pociąg na stację Dongus, gdzie brat pojechał wieczorem z polskimi legionami. To byli biali - jak oni to nazywali. Tu byli czerwoni, a tam byli biali. Ojciec powiedział, że pociągu tego nie poprowadzi na syna. Więc zwolnili ojca z pracy - to szczęście było, bo wtedy kto nie chciał usłuchać i prowadzić pociągu, to rozstrzelawali go. Ale ojciec miał tam jakieś względy, bo był dobrym pracownikiem.

Po zwolnieniu ojca nie mieliśmy z czego żyć. Ojciec wziął się za szewstwo, robił buty dla wojska.

W 1920 roku starsza siostra pracowała w tym biurze, gdzie można było jechać do Polski. Zapisła się i przyjechała do Polski pierwszym transportem. Ale już ojciec i matka umarli w Rosji, w Orenburgu i tam zostali pochowani.

My 3 dziewczyny zakupiliśmy mszę i poszliśmy na nią. Ksiądz nas zaprosił do siebie i mówi: „Wasza matka jest zapisana do Polski, a moja gospodyni nie jest zapisana. Weźcie Wy moją gospodynię za swoją matkę i wywieźcie ją do Polski!”

Siostra starsza miała 19 lat, druga 18 lat, a ja miałam 14 lat. No i wzięliśmy tą gospodynię i to była nasza opiekunka.

Opiekowała się nami przez całą drogę z Orenburga, aż przyjechaliśmy do stacji Platerów. Jechaliśmy 3 miesiące. I głodno było i chłodno było, bo to był styczeń.

Przyjechaliśmy do Polski 15 kwietnia 1922 roku. Brat nasz, który pojechał z polskimi legionami już pracował na Wileńszczyźnie

jako nauczyciel koło Mołodeczna, wieś Wywiery.

My pojechałyśmy do brata. Brat nas wziął i pojechałyśmy do tej wsi, z której ojciec pochodził. Ale, jako, że gospodarstwa nam nie oddali, wziął nas do siebie daleki krewny. Brat uczył jeszcze do czerwca w Wywierach i wtenczas przyjechał do nas do Litewnik. Poszedł do Białej Podlaskiej i dostał przeniesienie jako nauczyciel do wsi Litewniki. W Litewnikach uczył 2 lata, ale nie miał kwalifikacji. Wstąpił z powrotem do wojska i został podoficerem. Pracował do 1938 roku w Berezie Kortuskiej. Starsza siostra wyszła za mąż za kolegę brata Władysława Ryntowta i wyjechała na Wileńszczyznę.

Druga siostra poszła pracować do sklepu we wsi Szpaki, powiat Biała Podlaska. Pracowała tam 50 lat.

Ja mając 18 lat, pojechałam na prośbę siostry na Wileńszczyznę. Skończyłam tylko ruską szkołę w Orenburgu /7 klas/ i byłam bez pracy. Pojechałam do siostry do ^{Budstawa} ~~Guczawa~~, powiat Wilejka Powiatowa, województwo Wilno. Tam wyszłam za mąż za Antoniego Szkute, miałam dwoje dzieci. Mąż pracował jako sekretarz gminny w gminie - ^{Wo-}Lękołaty, powiat Rostawy. W 1939 r. 1 września męża wyrzucili z gminy. Przyjął nas ksiądz Dronicz, który został zamordowany potem przez Niemców.

W 1941 r. 2 stycznia mąż wyszedł do kolegi. Przyszła moja znajoma i pyta się, gdzie mąż?. Ja mówię, że jak wyszedł rano, tak jeszcze go nie ma. Ona mówi wtedy, że jego aresztowało na ulicy NKWD i pewnie jeszcze siedzi w gminie. Poszłam do gminy, ale powiedzieli, że jego już wywieźli do Doniłowicz. Posłałam furmankę do Doniłowicz, dałam chleba, słoniny i ubrania dla niego. Furman powiedział, że zabrali to wszystko w areszcie, ale czy mężowi doręczyli, nie wiadomo - prawdopodobnie mąż tego nie otrzymał.

Po tym był u nas taki NKWD-zista Kotow. Ja poszłam do niego pytać się gdzie jest mąż. On nie bardzo mi mówił prawdę, ale powiedział, że męża wywieźli z Doniłowicz do Wilejki Powiatowej. Ja pojechałam do Wilejki Powiatowej. Poszłam do więzienia i chciałam tam rozmawiać. Podeszła do mnie jedna kobieta i pyta się mnie do kogo ja przyszłam?. Ja powiedziałam jej nazwisko męża. Ona na to mówi - nie idźcie, nie puszczą was. Niech pani powie mi swoje nazwisko i adres, to ja pani dam znać. Ona stała pod więzieniem i widocznie prowadziła taką korespondencję między aresztowanymi,

a rodzinami, których nie dopuszczano do nich. Widocznie miała z nimi jakieś kontakty. Podałam jej nazwisko. NKWD-zista otworzył okienko i ja zapytałam, czy Antoni Szkute siedzi tutaj?. On odpowiedział - Niet! i trzasnął okienkiem. Ona mi powiedziała - „nie pytajcie się, ja pani wszystko dam znać”. Po jakimś czasie, ja otrzymuję od niej list, że sprawa męża jest już skończona, że mąż jest osadzony na 8 lat za to, że był wrogiem narodu i że ma być wywieziony do Archangielska, ale jeszcze jest w Wilejce Powiatowej. „Niech pani przyjeżdża jak najprędzej”!

Ja w sobotę wybrałam się i pojechałam pociągiem z ^{Budstawa} Gosiawia do Wilejki Powiatowej. Ta pani stała już przy więzieniu i powiedziała: „Jeżeli oni będą pani mówić, że męża nie ma, niech pani twierdzi, że pani powiedział NKWD-zista, że mąż jest tu w Wilejce”. Zabrała mnie do siebie mówi, że w niedzielę będzie widzenie. W nieszele raniutko wstałyśmy i poszłyśmy do więzienia. Pierwsza była 8-letnia dziewczynka, druga ja, a za mną tłum ludzi. Przyjmowali od nas paczki, które dawaliśmy. Posłałam machorki, słoniny, chleba, mięsa, wszystkiego w takim lnianym woreczku. Podałam to, NKWD-zista przyjął przez okienko i powiedział żeby czekała. Dziewczynka weszła pierwsza do matki i rozmawiała z nią. Gdy wyszła, zapytali się: „Szkute”? Ja mówię - jestem!. On mówi: Chodź!. Ja podeszłam do drzwi, a tu słyszemy nalot samolotów niemieckich. Ogromny - duży nalot. NKWD-ziści wyszli z więzienia i mówią: „Rozajdijcie się, bo budiem strielaT’”. Wszyscy, kto gdzie mógł, tam uciekał. Nalot był taki, że aż czarno było nad Wilejką od samolotów. Poszłam na stację. Zerwane były już tory, bo Niemcy zaczęli bombardować stację, a był to miesiąc czerwiec 1941 rok. Przyszła noc, a nas dużo było w kierunku do ^{Budstawa} Gosiawia. Mówimy więc: „Poczekajmy trochę, jak rozwidnieje” to pójdziemy pieszo torami”. Ale podszedł do mnie jeden pijany sowiet i pyta: po co ja tu przyszłam?. Ja na to, że przyjechałam do znajomych i mam teraz wrócić do ^{Budstawa} Gosiawia. On mówi: „Chodź to cię podwiozę”. Ja mówię, że nie chcę, że pójdę ze wszystkimi. Przyprował NKWD-zistę, a ja położyłam się głową na stole, żeby mnie nie rozpoznał. Sowiet pyta: „gdzie ta zenszczyna”, co ja z nią ransze rozmawiałam?”. Nikt nic nie odpowiedział i on mówi: „Wot ana jest!”. NKWD-zista podchodzi do mnie i pyta czego ja ku siedzę, gdzie byłam?.

Mnie mama uczyła zawsze, że prostą drogą dalej zajdę, więc powiedziałam, że przyjechałam do więzienia do męża. On każe iść z nim. Ja bałam się i zaczęłam go prosić i mówię, że zostawiłam dwoje małych dzieci. One są same i ja muszę do nich iść. Trzeźwy mówi do pijanego - „ chodź” i wyszli. Ludzie, którzy siedzieli ze mną, powiedzieli żebym szła torem kolejowym do domu, bo oni jeszcze raz przyjdą i mogą mnie zabrać. Ja wyszłam i boso poszłam torami kolejowymi do ^{Budstajnie} Goelawia i przyszłam tam na drugi dzień.

Nie wywieźli mnie na Syberię, przez to, że ja ukrywałam się. Często zmieniałam miejsce zamieszkania. To w jednej wiosce, to w drugiej wiosce miesiąc pomieszkałam, a że miałam dobrych ludzi, którzy mnie przetrzymywali i donosili mi jak mnie chcieli aresztować, to przez to nie byłam wywieziona.

W 1944 r. w styczniu przyszedł do mnie jeden komunięta i mówi:

„Jedź do Głębokiego, tam jest Czerwony Krzyż i zapisują do Polski na wyjazd. O was w wiosce pytają się gdzie wy jesteście, dlaczego nie byliście wywiezieni na Sybir”. Więc poszłam w nocy do Głębokiego, 31 km pieszo, w zimie, w styczniu 1944 r.

Doszłam do Głębokiego i jak zobaczyłam biało-czerwoną chorągiew, to zapłakałam. To było to biuro, gdzie zapisywali. Moja karta ewakuacyjna miała numer 39. Przyjechałam do Polski do Siedlec i tam wyładowali moje rzeczy, śnieg padał, a ja stałam z dziećmi. A wiozłam ze sobą jeszcze 3 kuzynki na moją kartę ewakuacyjną. Jeden kolejarz podszedł do mnie i powiedział: „ Nie może pani tak stać, proszę do mnie do mieszkania”. Pomógł nam zabrać rzeczy i zaprowadził do siebie. Przeznaczili mnie na zamieszkanie w gminie Czoryby, wieś Cielemens koło Siedlec.

Po wojnie pani Anna Szkute pracowała w szpitalu w Sulechowie, powiat Zielona Góra. W 1967 roku wyszła przeszła na emeryturę. W tym też roku za pośrednictwem Czerwonego Krzyża nawiązała kontakt z mężem mieszkającym od wojny w Londynie. Wyjechała do Londynu i tam namówiła męża na powrót do kraju. Powróciła razem w 1968 r., żyli razem szczęśliwie przez 20 lat, najpierw pod Poznaniem, później w Lublinie, do śmierci męża - 20.IV.1988 r.

Pani Anna Szkute przekazała do Związku Sybiraków rękopis książki autorstwa jej koleżanki Lucyny Iwanowskiej z domu Tymickiej.

Książka ta, /której wydania odmówiono mimo licznych starań w latach 70-tych/, w sposób szczegółowy opisuje przeżycia Polaków zesłanych na Sybir jeszcze w okresie caratu.

Tekst autoryzowałam:

Anna Szkat